Nr. 68. **Królewska Huta. Piątek, 31. Sierpnia 1888.** **Rok I.**

GÓRNOŚLĄZAK

S. BARBARO PATRONKO GÓRNIKÓW, MÓDL SIĘ ZA NAMI

PISMO DLA LUDU KATOLICKIEGO.

S. JADWIGO PATRONKO ŚLĄSKA, MÓDL SIĘ ZA NAMI.

Górnoślązak wychodzi co Wtorek i Piątek. — **Przedpłata kwartalna** z dwutygodniowym bezpłatnym Dodatkiem Powieściowym wynosi na pocztach, w Expedycyi i u panów Agentów **1 markę.** Pod opaską wysyłany z Expedycyi 1 markę 80 fen. — W Królewskiéj Hucie z odnoszeniem do domu, 1 markę 20 fen. — Pojedyńczy numer 10 fen. **Ogłoszenia** przyjmuje się **za opłatą 15 fen,** od wiersza petytowego. **Listy z pieniędzmi** jako i **przekazy pocztowe** adresować należy: **Expedycya „Górnoślązaka"** **(T. Szczepański)** Królewska Huta (Königshütte O.-S.) **Listy** nadsyłać należy franko pod adresem: **Redakcya „Górnoślązaka"** Królewska Huta (Königshütte O.-S.)

Redakcya i Expedycya znajduje się w Królewskiej Hucie na Cesarskiej ulicy nr. 45.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Germanizacya przez księży.

Nie [illegible] my sami, pisze „Orędownik," ale — [illegible] — wszystkie polskie pisma ludowe [illegible] niektórych księży, którzy do[illegible] jak mogą, [illegible] przez szkołę. Dowody na to znaj[illegible]ych korespondencyach, jakieśmy przytoczyli w ostatnim czasie z „Pielgrzyma," z „Gazety Olsztyńskiej," z „Katolika," i z „Górnoślązaka."

Dziś już nikt wątpić nie będzie, że i między księżmi znajdują się germanizatorzy.

W obec tych księży jesteśmy chwilowo bezbronni, ale tylko chwilowo. Zażaleuie na nich do Biskupów posyłane nie zdadzą się na wiele co, bo jeden Biskup, jak chełmiński, odpowie, że ma ręce związane, drugi, jak warmiński, wyda takie rozporządzenie kościelne, że będzie Niemców w kościele wyraźnie popierało, a trzeci, jak Książę Biskup wrocławski, będzie z dala patrzał, nie zimny ale też nie ciepły na robotę księży germanizatorów.

Jak jesteśmy bezbronni — chwilowo, pokazuje się z bolesnej skargi korespondencyi z Sztumu w Prusach Zachodnich, zamieszczonej w „Pielgrzymie," z której wyjmujemy następujący ustęp:

Ze Sztumskiego, 21go sierpnia

Dwie trzecie dzieci przyjętych do pierwszej komunii św. w Sztumie były niemieckie — dla tego „słusznie," że podczas nabożeństwa li tylko po niemiecku śpiewano.

Tak pisze „Ermlenderka."

Ja twierdzę, że to nie słuszne. Gdyby to przeciwnie było, nie znalazłby pewnie i korespondent „Ermlenderski" takiej bezwarunkowej w tem słuszności, że pełna trzecia część dzieci w najpiękniejszym dniu pierwszej swej Komunii św. ani jednej pieśni w ojczystym nie usłyszała języku.

Lecz przypatrzmy się tym dwom trzecim niemieckich dzieci parafii sztumskiej. Większa ich część pochodzi z rodziców polskich, nie umiejących ani zdania niemieckiego. Większa ich połowa mówi w domu i po za szkołą tylko po polsku, a w szkole może też tak, chyba w obecności nauczyciela odpowiada słabo i urywano po niemiecku. Takim dzieciom każą chodzić w Sztumie — i gdzie indziej na niemiecką naukę i zaliczają ich do Niemców. W taki to sposób wydobyto dwie trzecie niemieckich dzieci do nauki w Sztumie.

Miałem sposobność niejedną spotkać się z temi samemi dziećmi na drodze, w mieście, przy kościele

Siostra miłosierdzia.
(Przekład z francuzkiego)

opracował
Bronisław Koraszewski.

Mała dziewczynka pukała niecierpliwie do bramy jednego szpitala w Bretanii.

„Proszę, otwórzcie," mówiła, „ja chcę się dostać do mojej matki. Zrobiłam daleką drogę i jestem zmęczona."

„Co to za hałas?" mruczał odźwierny. „Mógłby kto myśleć, że ja nic innego nie mam do czynienia, jak tylko słuchać jakiegoś tam żebraczego dziecka, które ze świata się przywlecze. Przecz z tąd. Nie stój w drodze, niech wóz przejedzie."

Przelęknione dziecko ustąpiło na bok, gdy wtem przez bramę szpitalu przesunął się mały kondukt żałobny. Potem zwróciła się dziewczynka do jakiegoś przez bramę przechodzącego mężczyzny, który niemiał tak surowego wejrzenia, jak odźwierny, i zapytała: Nie widzieliście wy mojej matki?"

Mężczyzna miał córeczkę, która była mniej więcej w tym samym wieku, co mała Agnieszka; spojrzał na biedną dziecinę miłosiernem okiem, wziął ją na rękę i rzekł: „Kiedy przybyła twoja matka do szpitalu?"

„Ona opuściła nasz dom przed trzema dniami. Ach ja jestem tak samotna i smutna. Gdy matkę znowu zobaczę, będę ją prosić, by mnie już nigdy więcej samej nie zostawiła. Ja tylko ciągle płakałam od czasu, jak mnie matka opuściła."

„Jak się nazywa twoja matka, moje dziecko?"

„Pani Stephan."

„Ach! tak jest — numer 19! — No, moje dziecko, nie martw się, twoja matka jest szczęśliwa; ona wybrała się w daleką podróż."

„Kiedy ona wróci?"

„Ty ją znajdziesz w jej nowej Ojczyznie."

„Ale dokądże ona poszła?" pytała Agnieszka zalewając się łzami.

„Ona poszła do raju, moje dziecko. Z czasem i my tam się dostaniemy, jeśli tylko będziemy pobożui i cierpliwi."

„Ale ja nie znam drogi, która tam dotąd prowadzi."

Ta dziecinna naiwność wprawiła dobrego człowieka w ambaras; jednakże wpadł na dobry pomysł. „Umiesz się modlić?" zapytał.

„Tak, matka mnie uczyła modlitw porannych i wieczornych."

„Bardzo dobrze, moje dziecię. Tak więc idź ciągle prostą drogą. Gdy po drodze napotkasz kościół, to wstąp do niego i odmów modlitewki, których cię matka nauczyła. Gdy będziesz starszą i większą, to postaraj się o robotę, abyś mogła zapracować na potrzeby życia twego. Tymczasem zaś pukaj do drzwi ludzi bogatych, a gdy później napotkasz istoty nieszczęśliwsze od siebie, to im pomóż, resztę uczyni Opatrzność."

Mężczyzna wcisnął pieniądz srebrny w rękę sieroty, postawił ją na ziemię i powtórzył kierunek „Tylko prostą drogą."

Smutnym wzrokiem odprowadzała Agnieszka oddalającą się postać dobrego człowieka.

„Do raju," mówiła do siebie półgłosem, „prostą drogą!"

Postępowała spokojnie naprzód, póki jej siły nie opuściły. Gdy nadszedł wieczór, znajdowała się na wolnem polu. Odmówiła więc swój paciorek, położyła się na kupkę świeżo zesieczonego siana i zasnęła. Spiew ptaszków na drzewach i wpolu przebudził ją nazajutrz rano. Widok pięknej, uroczej okolicy dodał dziecku nowej otuchy. Wstało więc, odgarnęło swemi małemi rączkami wonięjące siano i suche listki z potarganych loczków, umyło się w poblizkim strumyku i wyruszyło w dalszą podróż.

Sierota kazała sobie swój pieniądz srebrny zmienić i myślała, że tem będzie mogła wszystkie wydatki swej podróży pokryć. W pierwszych dniach wszystko szło dobrze. Agnieszka postępowała raz po ożywionych drogach, to znowu po samotnych ścieżkach, a noc przespała zwykle na polu na sianie spokojnie i bez bojaźni, jak to niektórym dzieciom jest właściwe. Jednakże gdy pewnego razu się obudziła, znalazła się w wielkim kłopocie, gdyż miała trzy drogi przed sobą. Biedne dziecko nie wiedziało, którą drogą ma iść, usiadło więc i zaczęło płakać. Wtem przechodził jakiś mężczyzna, wesołą piosnkę nucąc. Agnieszka pobiegła ku niemu i prosiła:

„Pokażcie mi drogę do raju!"

„Do raju?" pytał zdziwiony mężczyzna. „Ja nie wiem o żadnym raju, chyba że to ma być winiarnia matki Gertrudy." To mówiąc niepewnym krokiem udał się w dalszą drogę.

„On nie wie drogi," pomyślało małe dziewczę; „muszę kogo innego zapytać, gdy będzie przechodził."

Kobiety i mężczyźni przechodzili, ale nikt nie był w stanie, dziewczynce dać zadowalniającej odpowiedź. Pewna młoda kobieta poradziła jej, aby się spytała księdza.

„Gdzie mieszka ksiądz?" zapytała Agnieszka.

„Widzisz tam tę wieżę? Idź tedy prosto w tę stronę."

Z sercem, pełnem radości, biegła Agnieszka ku wskazanemu miejscu. Nagle odbił się o jej uszy lękliwy głos wołającego o pomoc i spostrzegła starego mężczyznę w łachmanach, leżącego w rowie. Wołający o pomoc był niewidomy.

— wszędzie rozmawiały między sobą i że mną czysto po polsku. Pytam się ich tedy — bo mi mówiono: „Das sind deutsche Katechumenen“ — „czy wy rozumiecie niemiecką naukę?“ Jedno opowiada: „jabym wolał na polską, ale czytać po polsku nie mogę,“ drugie: „mnie tak kazał pan nauczyciel,“ trzecie: „mnie tak samo,“ i podobne odpowiedzi odebrałem od wielu z owych „niemieckich“ dzieci.

Westchnąłem z goryczą: „To istny kulturkampf — pomyślałem — w łonie parafii katolickich, do którego niestety głównie przyczyniają się obecnie katolicy niemieccy.

Taka walka niemiecko-polska w kościołach naszych nie może wyjść wierze naszej świętej na korzyść.

Jeżeli katolicy niemieccy, tak jak polscy, mają wiarę swą za najwyższy klejnot, dla czego tedy wzbraniają jedni drugim wyznawać tę wiarę w języku swoim ojczystym? Do czego to nareszcie doprowadzi? Na co właśnie teraz taka zaciętość i nagłość, zwłaszcza od Niemców-katolików?

Wszakże już tak długo słuchaliśmy z wielkim spokojem tyle kazań niemieckich w kościołach naszych, które zapełniał lud polski, gdy Niemców ledwie paru widzisz — i nie wzięliśmy zgorszenia. Czy tych kilku Niemców nie może z tym samym spokojem przysłuchać się naszym kazaniom, naszym pieśniom i modlitwom; wszakże to też słowo Boże, chwała i cześć Boska. Albo jeżeli już nie chcą się przysłuchać nabożeństwom polskim — my chętnie słuchamy, kiedy Niemcy Boga chwalą i wiarę katolicką po swojemu wyznawają — niechże tedy przynajmniej nam (choćby ich było i dwie trzecie a nas jedna trzecia) spokojnie modlić się dadzą. My sobie nic więcej nie życzymy, jak wymiaru sprawiedliwości. I dopóki nam się zadość nie uczyni, będziem się udawać do władz odpowiednich z prośbą a w ostatecznym razie będziem się rozpisywać w gazetach naszych, żeby się wszędzie dowiedziano o wielkiej duchownej biedzie naszej. (Dokończenie nastąpi.)

Pocieszająca wiadomość (!)

Dowiadujemy się z różnych stron, że Kółko towarzyskie w Chorzowie ma upaść czyli raczej, że ma dalej egzystować pod nazwą jakiegoś „Volksvereinu,“ co jeszcze gorzej jest, jak gdyby zupełnie upadło. Cóż bowiem stanie się z członkami, którzy wszyscy są Polakami? Nie potrzeba tu nad tem się zastanawiać, boć jasnem jak na dłoni jest, że tracimy w ten sposób dość sporą ilość członków naszego społeczeństwa.

Twierdzą niektórzy, iż na zaprowadzenie podobnej zmiany wpływa ks. kapelan Kruppa z Chorzowa. Są jednakże i tacy, którzy pogłoskom tym niedowierzają, znając ks. kapelana Kruppę jako człowieka spokojnego i nielubiącego wdawać się w sprawy, które bez jego osoby mogą być załatwione.

I my niedajemy wiary temu, aby ks. kapelan Kruppa jakichkolwiek wpływów w tym względzie ze swej strony miał używać, bo germanizatorami są przeważnie u nas proboszcze. Kapelani zaś, póki takimi pozostają, zwykli się zachowywać obojętnie.

Prawdopodobniejszem wydaje nam się twierdzenie, jakoby w chorzowskiem Kółku znajdowali się tacy, którzy dążą do tak zwanego „bildunku,“ którego pierwszem znamieniem ma być przechrzczenie Kółka na „Volksverein.“

Widać, że tym przywódzcom pomięszały się w głowie pojęcia pomiędzy „bildunkiem“ a prawdziwą polską oświatą; widać, że do tej ostatniej nigdy nie dążyli i teraz taki obłęd ich opanował.

„Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze.“ — Więc, Bracia, kto ma w sercu choć cokolwiek miłości bliźniego, niech ich ratuje, niech ich nawróci, bo „nie wiedzą, co czynią.“

Wytrwałości nam trzeba! Kółka nie powinny upadać, lecz rosnąć. Jeżeli przez cały tydzień pracujemy dla bytu materyalnego, dla ciała, to też poświęćmy choć raz na tydzień, w niedzielę, chwilkę czasu dla kształcenia ducha, dla prawdziwej oświaty, nie dla jakiegoś tam „bildunku.“ Prawdziwa oświata łączy nas w coraz silniejszy węzeł; „bildunek“ w takim znaczeniu, jak go Chorzowianie pojmują, dzieli nas i odstręcza wzajemnie.

Bracia Chorzowianie! dziś jeszcze należycie do nas, ale gdybyście waszego zamiaru nie mieli zmienić, to już niezadługo nie jesteście nasi.

---

† **Z miasta,** dnia 28go sierpnia.

Dziś pochowaliśmy zwłoki śp. Jana Zielińskiego zacnego obywatela oraz i członka Kółka towarzyskiego, który był dzielnym aktorem przy odgrywaniu teatrów amatorskich. Nieboszczyk był jeden z tych, który nad wszystko kochają język i obyczaje ojczyste. Zgasły nie żałował ciężko zapracowanego grosza na zakupienie dosyć drogich książek dla biblioteki Kółka, żył trzeźwo i uczciwie, jak się tylko od takich ludzi spodziewać można i znosił z cierpliwością i uległością swój przykry los, gdyż od trzech lat cierpiał na okropną chorobę, na raka, który się w żołądku usadowił. Blizko 9 miesięcy leżał na łożu boleści, posilając się często Sakramentami św., aż w sam dzień swych urodzin w pełności lat czterdziestu ośmiu padł ofiarą śmierci. Że zgasły był od wszystkich kochanym, dowodem tego niezliczona masa ludu odprowadzająca zwłoki jego na wieczny spoczynek. Także i Kółko ze swą chorągwią licznie się zebrało, by odprowadzić tak zacnego członka. Nadmienić tu także wypada, że pan organista Figel zasłużył sobie na wielką pochwałę. Jest to jeszcze jeden z tych, którzy znają wartość śpiewu polskiego, bo gdy ze swemi uczennicami zaśpiewał na trzy głosy wolno i wyraźnie pieśń: „Jak każdy, który się rodzi, tak ja idę do grobu,“ wszystkich serca wzruszone były do żywego. Dobry śpiew, jak potrafi rozweselić człowieka, tak też przez swe tęskne melodye pobudzi do żałości. Dlatego cześć takim mężom, jak p. Figel. — Do uroczystości aktu żałobnego przyczynił się także niemało wielebny ksiądz kapelan Tylla. Mową swą bowiem nad grobem zmarłego tak słuchaczy rozrzewnił, iż żadne oko suche nie pozostało. Niech mu to Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi.

Sp. Jan Zieliński oprócz stroskanej wdowy, którą za życia tkliwą miłością otaczał, pozostawia jeszcze ośmioro dziatek, które pobożnie wychowane, w modłach swych za to o swym dobrym Ojcu nie zapomną.

Cześć pamięci zmarłego. Niech odpoczywa w pokoju!

Przegląd polityczny.

— **Cesarz Wilhelm II.** ma wyjechać około 25. września w odwiedziny najprzód do króla wyrtembergskiego, potem do wielkiego księcia badeńskiego, dalej do księcia rejenta bawarskiego. Ztamtąd uda się wprost do Rzymu i zabawi w Włoszech około 12 dni. Z powrotem zajedzie do Wiednia, by odwiedzić cesarza austryackiego.

W poniedziałek odwiedził cesarz króla saskiego na zamku Pilnica i wrócił wieczorem około północy do Berlina.

— **Prezes włoskiego gabinetu p. Crispi** znajduje się już u króla Humberta w Monza, a dzienniki ciągle jeszcze zajmują się wrażeniami i następstwami mogącemi powstać ze świeżego zjazdu ministrów. „Polit. Corr.“ ciekawe w tym względzie podaje wiadomości i tak się między innemi wyraża:

Sprawa Massowy jest w każdym razie cierniste. Francya ze swej strony stara się zakończyć tę sprawę, ale mimo to zdradza ciągły niepokój. Crispi nadał całej tej sprawie szersze znaczenie, przedkładając ją uznaniu Europy. Obecnie toczy się ona pomiędzy Turcyą a Włochami. Stosownie do rezultatu tych rokowań pomiędzy Rzymem a Carogrodem pozostanie konsul francuzki w Massowie, lub będzie odwołanym. W Paryżu z niecierpliwością wielką czekają na to, czy p. Crispi po powrocie swym z Friedrichsruh uzasadniczy nieco swoją politykę, lub obostrzy ją jeszcze więcej. Przy tej sposobności zauważyć należy, że Francya jest bardzo pokojowo usposobioną i tylko niezbędna konieczność nakłoniła by ją do wojny.

„Miejcie litość nademną, miłosierni chrześcianie!“ wołał słabym, przytłumionym głosem, który każdy kamień serce by mógł zmiękczyć. Agnieszka wyciągnęła rękę do niego. Jakkolwiek słabą była ofiarowana pomoc, to jednak skorzystał z niej starzec, wydobył się szczęśliwie z rowu, zwrócił swe martwe oczy ku światłu słonecznemu i zapytał: „Kogo mam przed sobą?“

„Małą Agnieszkę.“

„Gdzie twoja matka?“

„Ona jest w raju, ja chcę do niej iść.“

Uśmiech rozjaśnił oblicze niewidomego. Dźwięk głosu zdradzał wiek dziewczynki, podczas gdy z jej słów dziecinna naiwność i szczerość serca przebijała. Nad drogą siedząc opowiadali sobie oboje swe smutki i kłopoty. Starzec już wiele wycierpiał, dziecię zaczęło postępować po drodze ciernistej, o której istnieniu jeszcze niemiało wyobrażenia.

Artur (tak było na imię starcowi) był od urodzenia niewidomym. Ojciec jego, który także był niewidomy, ożenił się również z niewidomą kobietą. Wspólna niedola obojga wzbudziła ich sympatye wzajemne i stała się później przyczyną do połączenia małżeńskiego. Ubodzy ci ludzie chodzili po świecie i śpiewali pieśni, podobne od ich życia. Te przez naszych poetów tak mało znane ballady mają w sobie coś nadzwyczajnego i trudno ich słuchać bez wzruszenia.

Osobliwą tę parę obdarzył Pan Bóg kilkorgiem dzieci. Matka pielęgnowała i żywiła je na wędrówkach, a dobroczynni ludzie, powodowani miłością bliźniego, udzielali im wspaniałomyślnie darów, na jakie ich było stać. Biedna kobieta nosiła jedno dziecko na plecach, dwa inne na rękach, czwarte w fartuch zawinięte, podczas gdy mały krasnolicy chłopaczek okrakiem na psie jechał, który ostatni biednej rodzinie przewodnikiem był. Niewidome małżeństwo posiadało siedmioro dzieci, które wszystkie były niewidome. Niewidomość nie jest dziedziczną, a jednak można w Vannes (miasto franc. w dep. Morbihan) napotkać nieszczęśliwe, tą ułomnością od urodzenia nawiedzone rodziny, które śpiewając i żebrząc po krętych ulicach miasta chodzą.

Biednej rodzinie ofiarowano schronienie w zakładzie niewidomych. Ponieważ jednakże urodzili się i wychowali na wsi, więc zdawało im się, że w mieście czuliby się nieszczęśliwymi. Dla nich był niezbędnym śpiew ptaków i muzyka wiatrów w borach i zagajach; dlatego postanowili, raz już rozpoczęte życie koczujące dalej prowadzić. Nie pragnęli nic więcej, jak tylko tak żyć, jak ich rodzice żyli, i umrzeć, jak oni. Pomimo swego ubóstwa była rodzina ta wesoła, szczęśliwa i zadowolniona. Skromni w swych wymaganiach, żyli z tego, czem ich każdy dzień obdarzył. Gdy im się wiodło dobrze, to dziękowali Opatrzności i cieszyli się swem szczęściem; gdy zaś cierpieli niedostatek, to uważali to za dopuszczenie Boże i byli nawet wtenczas zadowolnieni.

Pies, który dzieci nosił i koczującej rodzinie za przewodnika służył, zdechł na grobie starych ludzi, których nawet po śmierci nie chciał opuścić. —

II.

Artur oddał pewnego razu cały swój majątek niegodziwym chłopakom, którzy mieli zamiar psa utopić. Fido (tak się wabił pies) od tego czasu nie odstępował niewidomego człowieka. Wierne to zwierzę nauczyło się wybornie drewniane naczynie w zębach trzymać i żałosnem skomleniem przechodniów prosić o jałmużnę. Fido był jedynym przyjacielem Artura, ale Fido przestał żyć. Od dwóch dni leżał staruszek obok nieżywego towarzysza, na miejscu, gdzie wierny pies po raz ostatni polizał mu rękę. Wtenczas nieszczęśliwemu zesłały nieba małą Agnieszkę. Podczas gdy jej Artur swoje przygody, o których właśnie zrobiliśmy wzmiankę, opowiadał, trzymała sierota pomarszczoną rękę niewidomego w swoich małych rączkach.

„Słuchajcie, biedny człowieku,“ rzekła, „ja chcę iść do raju, gdzie mnie matka oczekuje. Jeśli wam na tem nie zależy, dokąd pójdziecie, to chodźcie ze mną; drogę nie trudno znaleźć; „tylko zawsze prosto.“ W podróży tam dotąd musimy być zawsze cierpliwi i dobrzy i pomagać sobie wzajemnie. Chcecie? Ja wam podam rękę i poprowadzę was jeszcze lepiej jak Fido.“

Dwie wielkie łzy spłynęły z oczu starca; przycisnął dziecię silnie do piersi swej, zwrócił swe błędne oczy ku niebu i zdawał się Boga prosić o błogosławieństwo dla siebie i dziecięcia.

„Agnieszko,“ rzekł „wielkiego mozołu się podejmujesz. Ja, starzec, nie mogę ci być podporą, ale Dobry Zbawiciel kocha nieszczęśliwych, i On nas dzisiaj wzajemnie zbliżył. Ty zastąpisz mi światło dzienne; ja zaś mam jeszcze silne ramiona; ja cię będę niósł, gdy będziesz zmęczoną, a później ty mi otworzysz bramy do raju.“

Dziecko powstało, przyklasnęło wesoło małemi rączkami, uchwyciło za rękę nowego swego towarzysza, i oboje udali się ku wsi.

W obydwóch tych duszach żyła ta sama wiara, ta sama ufność w Boga. Stary niewidomy człowiek nie posiadał wprawdzie tej niewinnej prostoty dziecięcia, ale wiedział aż nadto dobrze, że szkoła życia i nędzy do lepszej przyszłości nas przysposabia. Artur niechciał Agnieszce dziecinnych jej zapatrywań tłumaczyć; wiedział bowiem, że nie pojęłaby, co to jest śmierć, choć zdawała się mieć, jeśli tak powiemy, jakieś wewnętrzne wyobrażenie o niebie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Paryż. W podziękowaniu, wystósowanem do swoich wyborców, powtarza Boulanger swoje zwykłe zaczepki i szykany naprzeciw rzeczypospolitej; przeciwników swoich nazywa dzikiemi bestyami, szkieletami, których kości trzeszczą i t. d.

Boulanger nie przebiera w swoich wyrażeniach.

Petersburg. Pisma tutejsze utrzymują, że niedobór w Serbii wynosi już 17 mil. franków, i rząd nie wie, czem go pokryć; oficerowie w Belgradzie nie otrzymali za jeden, a na prowincyi za dwa miesiące płacy. Tudzież, że król Milan ma jechać do Halle, aby tam się spotkać z królową Natalią i ją przeprosić. Wreszcie, iż Stambułów rozdrażniony wywołuje, że jeśli Austrya lub Anglia nic stanowczego nie uczynią na rzecz niniejszego systemu rządów w Bułgaryi, to ogłosi Bułgaryę państwem niepodległem i zażąda od cara, aby ją wziął pod swoj protektorat.

— **Banda tureckich rozbójników** uprowadziła w tych dniach tuż z pod bram Konstantynopola młodą dziewczynę, córkę wieśniaka, i zawiodła ją w góry.

Naczelnikowi bandy zdobycz ta tak się spodobała, że postanowił ożenić się z porwaną. W tym celu zaaranżowali zbójcy w swej jakiej formalną ceremonię ślubną, podczas której jeden z krwiożerczych łotrów fungował jako kapłan, udzielający nowożeńcom błogosławieństwa.

Kronika kościelna.

— **Papież w Rzymie.** W obec smutnych stosunków, wśród jakich Papież Leon XIII. w Rzymie się znajduje, utrzymuje „Osservatore Romane,“ że Ojciec św. jednak nie da się skłonić do opuszczenia Rzymu. „Osserv. R.“ zapytuje, czy Pius IX. znajdował się w miłem położeniu, gdy nieprzyjaciel (Cadorna i Bizio) szturm przypuścił do bram Rzymu, gdy całe miasto zaczął pustoszyć i buntować lud rozbestwiony przeciwko Watykanowi? A jednak Pius IX. pozostał. Albo czyż Leon XIII. przyjemnych doznał wrażeń, gdy motłoch rzymski zwłoki Piusa IX. w rzekę chciał wrzucić? A jednak Leon XIII. pozostał. — Jeżeli więc prawda jest, że Papieżowi źle się wiedzie w Rzymie, to czemuż zostaje? „Papież,“ tak opowiada dosłownie „Osserv. R.,“ dlatego pozostanie w Rzymie, że sprawy kościelne tego wymagają. Choć się tam widzi wystawionym na obelgi, znieważanym, a nawet chociaż osobiste Jego bezpieczeństwo jest zagrożone, to jednak pozostanie, a nie da się odstraszyć przez żadne bałamuctwa albo groźby, bo, jak sam Papież to uznaje, konieczność tego wymaga, aby pozostał. Historya wymienia wielu Papieży męczenników, którzy byliby mogli ujść śmierci, gdyby byli Rzym opuścili; ale oni pozostali.

W obec takiej jasnej i stanowczej odezwy organu, jak się zdaje, przez Watykan do tego upoważniego, widzą się pisma, stojące po stronie Crispiego formalnie rozbrojonemi.

Wcale się także nie udało pismom tym dostatecznie dowieść, że Papież dlatego zostaje, iż godzi się z obecnymi stósunkami. Również daremne były wszelkie usiłowania, by Papieża, skoroby się nie godził z obecnymi stosunkami, zmusić do opuszczenia Rzymu.

Papież nie godzi się na nic, co jest przeciwko jego woli, a jednak pozostaje.

Biskupi, odbywający konferencyą we Fuldzie, znajdują się w bardzo trudnem położeniu. Wizyta bowiem cesarza niemieckiego w Kwirynale dowodzi, że polityczny związek z Włochami silniejszym jest od kościelnej zgody z Rzymem; a jednak trzeba być grzecznym, trzeba z jednej strony utrzymać dawniejsze dominium partyi centrum, a z drugiej strony udawać, że się nie chce wojny o szkołę.

Czy dostojni Biskupi nie ujmą się za Polakami? Na 11tu jest przecież 4rech takich, którzy pasą polskie owieczki, a owieczki te stanowią więcej jak piątą, bo blizko 4tą część wszystkich katolików w Prusiech. Czy dostojni Biskupi nie podniosą głosu w obronie Koncilium Trydenckiego, żeby pacież, katechizm i historya święta wykładane były w języku ojczystym?

— **Papież** przyjmował w tych dniach w sali tronowej członków rzymskiego komitetu wystawy watykańskiej. Podziękowawszy im za gorliwe współpracownictwo w dziele wystawy, wręczył Leon XIII. każdemu z członków komitetu wspaniały zegarek kieszonkowy na znak swej życzliwości, a następnie udzielił im apostolskiego błogosławieństwa.

Wiadomości miejscowe i okoliczne.

Na kościół w Szobiszowicach

złożono za pośrednictwem pana Mutz z Godullahuty 2 m. 20 fen. Razem z poprzedniemi: 5 m. 30 fen.

Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Królewska Huta. Dochodzą nas wiadomości, iż nauczyciele szkół elementarnych wymagają od dzieci, aby takowe przez nich przepisane zeszyty do rysunków miały i aby te zeszyty w księgarni przez nich wskazanej kupowały. Z wiarogodnego źródła zaś dowiadujemy się, iż pp. nauczyciele z rozporządzenia inspektora powiatowego nie mają prawa do podobnych wymagań. Dzieciom więc lub rodzicom takowych wolno kupować zeszyty, gdzie im się podoba. Jedynie o to chodzi, aby zeszyty co do wielkości nie różniły się zbyt wiele jedne od drugich. Jeśliby zaś który nauczyciel koniecznie chciał zmusić jakie dziecko do wypełnienia jego życzenia, a mianowicie gdyby je miał bić, (jak to podobno w jednym przypadku miało miejsce), to trzeba zrobić zażalenie do inspektora powiatowego. —

Laurahuta. Przed kilku dniami bawił się w Siemianowicach jedenastoletni syn wdowy Krauze z kapiszonem, jakiego górnicy do rozstrzeliwania węgli używają. Przy tej sposobności eksplodował kapiszon, a chłopiec uszkodził sobie obydwie ręce dość znacznie. U lewej ręki były cztery palce zupełnie urwane.

Mikołów. Za skradzenie pieniędzy pocztowych w ilości około 1000 marek został aresztowany dawniejszy leśniczy Augustini, który do czasu był agentem poczty.

Racibórz Żona rzeźnika P. w Ostrogu, żyje od dwóch lat w rozłączeniu z mężem, ponieważ tenże zbyt surowo się z nią obchodził. Przed kilku dniami wpadł P. do mieszkania żony swej, bił ją pięściami i kopał. Gdy gospodarz zawezwał nieproszonego gościa, aby dom natychmiast opuścił, tenże nietylko tego nie uczynił, lecz zachowywał się jeszcze gorzej, tak, że trzeba było żandarma przywołać, któremu dopiero się udało szaleńca z domu oddalić. Ponieważ pani P. męża swego zaskarży, także i żandarm nie zamilczy sprawy, nie zakończy się takowa zbyt przyjemnie dla rzeźnika P.

Wielkie Strzelce. Tutejsze Kółko towarzyskie katolickie obchodziło w niedzielę i poniedziałek 25-letni jubileusz swego istnienia.

Poznań. Pomiędzy pewnym dorożkarzem a woźnicą przyszło do zakładu, kto kogo wyścignie furmanką. W niedzielę po południu przyszedł zakład do skutku na drodze Bukowskiej. W czasie wyścigów przejechał jeden z nich w pobliżu Villa Gehlen 10letniego chłopca tak nieszczęśliwie, że go musiano odwieść do lazaretu miejskiego. Poniósł też lekkie obrażenia pewien robotnik, którego również przejechali. Zakład ten grubo obu kosztować będzie.

Grześ i Walek.

Grześ: A witajże Walosiu! Już też docna myślałem, że cię tak wnetki nie zobaczę. Musisz mi też za to terazki wiele naopowiadać, a najbardziej co się tyczy polityki, bo to już moja ulubiona rzecz.

Walek: A z kądże ja bym ci miał te nowiny polityczne brać! Toć przecie wdyczki wiesz, że wszystkie wielkie polityczne pany gdzieś tam w dalekie podróże się wybierają . . .

Grześ: Ale żarty! No i cóż to terazki z tą polityką się stanie?

Walek: Toć się nie bój. Polityka nie zginie bo cóżby bez polityki gazety robiły . . .

Grześ: A jednak ty powiadasz, że żadnych nowin politycznych nie wiesz.

Walek: Ależ nie przerywaj; właśnie też chciałem powiedzieć, że, choć dziś nie wiele ci o polityce powiem, to jednak, kiedy te pany takie podróże wyprawiają, na coś się zanosi. Więc to jeno musimy trochę poczekać, a polityka będzie i to polityka okropnista.

Grześ: Wiesz, Walosiu, żeś ty jest siarczyście, mądry człowiek. Ty to wszystko tak obrachujesz, kiejby jaki maszynista.

Walek: Matermatryk się mówi.

Grześ: Dyć to wsio ryba.

Walek: Nie prawda, bo co innego maszynista, a co innego matermatryk, a znów co innego jest gastronom, bo ten to tylko na gwiazdy patrzy a na księżyc. Ale ja ci to muszę wszystko dokumentnie wyłożyć . . .

Grześ: Już nie chcę, już nie chcę, boby mi się jeszcze bardziej w głowie pomięszało! Lepiej mi powiadaj co innego.

Walek: No a cobyś chciał wiedzieć?

Grześ: Jabym to najbardziej był ciekawy, jak to tam było na tej zabawie w Dębie. . . .

Walek: Ale! ale! toć to najważniejsze. Mnie też tak ciągle jakoś było, jakbym ci coś ważnego chciał powiedzieć, a nie mogło mi się wspomnieć, co to.

Grześ: No to terazki opowiadaj, boś ty tam był, a ja nie.

Walek: Toć wszystkiego ci opowiedzieć nie mogę, boby mi czasu nie stykło, a zresztą co ważniejszego, to już pewnie czytałeś w „Górnoślązaku“ w numerze 66, bo wszak ty to pismo też czytasz?

Grześ: A toć czytam i go nie puszczę, ale to tam jednak o tem nie stoi, jak to jedna kobieta swojego chłopa zganiła, że na Kółko nie chodzi. Jak to było?

Walek: Wdyczki to tak było: Zwyczajnie, jak to wiesz, gdzie ja jestem na jakiej zabawie, to też bez szprinców się nie obejdzie, bo ja lubię zawsze ludzi rozweselić. Tak też poszedłem do sieni, aby się przebrać za starą babę, aż tu naraz słyszę, jak jedna kobieta wydziwia: „A widzisz, jakto się tam ładnie bawią, a jakie piękne mowy mają, a ty tobyś jeno w karczmie siedział a pił, a na Kółko to nic, a teraz to się z ciebie i z twoich takich kolegów śmieją, a powiadają, że wy to nic nie warci, kiedy żyjecie tak jak jacy dzicy.“

Grześ: Oj, to ci mu gryfnie powiedziała.

Walek: Powiadam ci, Grzesiu, że aż mi się serce rozradowało, jakem to słyszał.

Grześ: A to jednak „Górnoślązak“ nie miał racyi, jak pisał o „germanizacyi przez kobiety,“ bo otóż mamy przykład.

Walek: O! braciszku, co do tego, to już ci muszę powiedzieć, że „Górnoślązak“ bardzo dobrze wiedział, co pisze, bo takich kobiet, jak to ta w Dębie, to mamy mało. Żeby one wszystkie takie były, to by to było cośik. Ale przecież są takie, które wprost mężom zabraniają iść do Kółka, a gdy który mąż umrze, toby wtedy chciała, żeby Kółko szło z faną na pogrzeb, bo to wiem z doświadczenia.

Grześ: Jużcić masz prawdę. Ale o pogrzebach nie mówmy, lepiej mi powiedz . . .

Walek: A już ci nic nie będę mówił, bo oto widzę, że moja stara nadchodzi, a dopiero by ona na mnie wygadywała, że ja jeszcze żadnego interesu na mieście dziś nie załatwiłem, jeno tak z tobą gadu, gadu. Bądź zdrów!

Grześ: Ha! ha! Patrzcie go, jak to zmyka. Taki polityczny człowiek mizernej kobiety się boi. Już to nie ma nikt lepszych czasów jak ja, człowiek samotny. —

Różne nowiny potoczne.

— **Trąba powietrzna.** O burzy w powiecie kutnowskim, niedaleko Kalisza w Królestwie, otrzymuje „Kuryer Warszawski“ następujące szczegóły; Dnia 13go b. m. pomiędzy godziną 6tą a 7mą wieczorem nadciągnęła od zachodu straszna, nisko nad ziemią zawisła chmura, która tak dalece stłumiła światło dzienne, że zapanował zupełny zmrok. Po chwili przy zupełnym braku wiatru, lunął rzęsisty deszcz, z towarzyszeniem nieustannych błyskawic, grzmotów i piorunów. Równocześnie z deszczem zaczęły padać potężne kawały lodu wielkości kurzego jaja, co też i wywołało niebywały popłoch wśród wszystkich żyjących tworów. Na szczęście kawały te (przeważnie cztero, ośmio i wielokątne a rzadziej okrągłe) padały nie gęsto, zaledwie o kilka sążni jeden od drugiego i w dodatku bez wiatru, a przez to mniej szkodliwie. Po półgodzinnej ulewie

zaczęło się nieco przecierać, lecz zerwał się wicher zachodni, a wraz z nim okazał się olbrzymi słup w kształcie lejka, łączący ziemię z nisko sunącym obłokiem, a pędzący naprzód z szybkością dwóch wiorst na minutę. Słup ten, a raczej lejek szeroki u podstawy 5 do 6 sążni, stopniowo rozszerzał się w górze i na wysokości mniej więcej 80 sążni ginął w chmurze. W pochodzie swym trąba we wsi Kalenin zniosła i rozrzuciła dwa mieszkalne domy włościańskie, dwa zaś drugie uszkodziła znacznie, przyczem porwała kilka sztuk bydła. We wsi Niwki zabrała i rozniosła po świecie cztery sterty zboża i pięć stogów z wielkim kosztem sprowadzonego z nad Warty siana; na folwarku zaś Dzierzbice porwała stojące w mendelach czterdzieści wozów pszenicy, którą następnie rozrzuciła na przestrzeni dwóch wiorst. Nareszcie około folwarku Wiewierz, pod lasem, straszliwy słup oderwał się od ziemi i rozpłynął w przestrzeni. Ogłuszający huk piorunu, który doszczętnie strzaskał brzozę przy folwarku Wiewierz, zakończył tę okrutną igraszkę sił przyrody, która postrachem napełniła całą okolicę. Widok olbrzymiego słupa, mknącego z szybkością wichru, miotającego naokół kłęby siana, garście słomy, szczątki porwanych z korzeniami drzew i budowli, owitego w tumany piasku i kurzawy, przy blasku błyskawic i huku piorunów był, pomimo całej swej grozy imponująco wspaniały.

— **W angielskiem mieście Waltham** fabrykują ciekawy zegar, którego godziny nie będą oznaczone liczbami, ale małemi dokładnemi obrazkami, przedstawiającemi matkę trzymającą dziecko na ręku. Na 2giej obrazek jest ten sam, ale z większem nieco dzieckiem. 3cia godzina pokazuje obrazek przedstawiający matkę z małym już chłopczykiem. Godziny 4ta, 5ta, 6ta i 7ma przedstawiają go coraz starszym, aż wreszcie obrazek 8mej godziny przedstawia matkę wysyłającą chłopca do szkół. O 9tej ukazuje się syn jako akademik, a stara matka patrzy z uśmiechem zadowolenia — dumna i szczęśliwa z jego postępów. 10ta godzina przedstawia matkę na łożu śmierci i bolesną chwilę rozłączenia. Obrazek, oznajmiający 11tą, przedstawia dawnego ucznia jako mężczyznę w sile wieku, który nie jedną zimę już przeżył. Wreszcie 12ta godzina przedstawia zgrzybiałego starca. — Smutny obraz ludzkości. —

Wybór żony.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małem mieście,
W średnim już wieku i na pół siwawy,
Lecz jeszcze czerstwy i żwawy,
Chciał się ożenić nareszcie.
Miał on swój domek na rynku,
Kawał roli, sklep do szynku,
Przytem grosz obfity,
Więc na męża wyśmieniy.
Szukał małżonki, a że, jak to bywa,
Nigdy na takiem towarze nie zbywa,
W bliskości siebie, bez łamania głowy,
Wynalazł sobie dwie wdowy.
Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzalsza, lecz na żonę pewna.
Trudny więc wybór i wielkie kłopoty . . .
Gdy nasze wdówki z przymiloną minką,
Ciągle się niby z żartu i pustoty,
Bawiły jego czupryną.
Młodsza go chciała mieć młodszym, nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym,
W ciąż mu więc z głowy włos po włosie rwały,
Jedna czarny, druga biały.
Aż go nakoniec ten żart tak zeszpecił,
Że głupią głową jakby dynią świecił.
Ho! ho! tak z gniewnym ozwie się zapałem,
Jeszczem bez żony, a już wyłysiałem,
Coż będzie gdy się ożenię?
Nie, nie bądź dudkiem Bartoszu
Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie.
Baby zostawił na koszu.

Kalendarz.

Piątek 31go sierpnia Rajmunda w., Sobota 1go września Idziego op., Niedziela 2go września Stefana król., Poniedziałek 3-go września Joachima patr. Polski.

Wschód słońca o g. dz. 5. minut 11, zachód o godzinie 6. minut 48.

Książki,

które po cenie nadzwyczaj zniżonéj nabyć można

w Expedycyi „Górnoślązaka“

w Królewskiéj Hucie.

(Ciąg dalszy).

Kirkow. Zarysy współczesnéj literatury rosyjskiéj przez Jana ze Śliwina. Poznań 1973. 8° str. 64, zamiast 1 mk. tylko 30 fen.

Kiszewski. Nauka o świecie. Leszno 1858. 8° str. 367, zamiast 2 m. tylko 80 fen.

Kitowicz. 1. X. Opisy obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. Tom I. zamiast 1,50 tylko 20 fen.

— Tom IV. zamiast 1,50 tylko 20 fen.

Kołłątaj. List do przyjaciela odkrywający wszystkie czynności w ciągu insurekcyi, pisany roku 1795. Warszawa 1864. 16° str. 100, zamiast 1,50 tylko 30 fen.

Kotkowski J. D. — Postępowość i wsteczność w dziedzinie kształcenia się języków słowiańskich rozważane. Kijów 1862. 8° str. 24, zamiast 2 m. tylko 30 fen.

Kozłowski F. Dzieje Mazowsza za panowania książąt. Warszawa 1859. 8° str. 579, zamiast 6 m. tylko 1 m.

Kozłowski F. X. Historya święta. Część II. str. 216. Wilno 1859. 8°, zamiast 5 m. tylko 1,50.

Kraiński Dr. Lionka Natalia i Dobrogost, prozą rymową. Wrocław 1856. 12° str. 80, zamiast 1 m. tylko 15 fen.

— Polka, prozą rymową. Wrocław 1855. 8° str. 113. Cena zniżona 30 fen.

— Anna i Scisław. Wrocław 1855, 12° str. 83. zam. 1 m. tylko 20 fen.

Kraiński W. Ksiądz Wincenty. Prozą wiązaną z portretem autora. Wrocław 1858 w 8° str. XV., 582. Cena zniżona na 1 m.

Krakowiak pierwszy. Z tej i tamtej strony Wisły. Kraków 1848. 8°. Cena zniżona 10 fen.

Krotkowski's Reden. Posen. 8° str. 126, zam. 1,50 tylko 15 fen.

Listy z czasów Jana III. i Augusta II. wydane przez G. B. U. i Wład. Skrzydyłkę. Kraków 1870. 4° str. 135, zamiast 4 m. tylko 1 m.

Listy Adama Miczkiewicza do p. Konstancyi, str. 48, zam. 1 m. tylko 20 fen.

Longfellew H. W. Ewangelina, powieść akadyjska, na język polski przełożył A. Ch. Poznań 1851. 8° 69, zamiast 1,75 m. tylko 40 fen.

Nakładem T. Szczepańskiego w Królewskiéj Hucie G.-S. — Redaktor B. Koraszewski w Królewskiéj Hucie G.-S. — Drukiem Fr. Plocha w Królewskiéj Hucie G.-S.